

Podrzucki Wawrzyniec

Podrzucki Wawrzyniec



Wawrzyniec Podrzucki - urodzony w 1962 r. w Gliwicach, żonaty. Polski pisarz *science fiction*, z wykształcenia biolog (spec. mikrobiologia). Po studiach na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi UMCS w Lublinie rozpoczął pracę naukową, zajmując się początkowo zagadnieniami biologicznej ochrony roślin w ISK w Skierniewicach, później badaniami nad molekularnym podłożem nowotworów w Centrum Onkologii w Gliwicach, a następnie przez 6 lat mechanizmami regulującymi funkcjonowanie genetycznej maszyny komórkowej w Instytucie Wistaraa w Filadelfii, publikując wyniki swoich badań głównie w "Journal of Virology". W 1999 r. obronił pracę doktorską na temat ekspresji genów wirusa HSV-1. W latach 1999-2003 prowadził prace badawcze w Instytucie Transplantologii AM w Warszawie, a następnie w Instytucie Nauk o Środowisku UJ. Redaktor serwisu DigiCig.pl. Obecnie mieszka w Krakowie.

Zawód Prometeusz

*(Opowiadanie w wersji autorskiej, bez redakcji i korekty).
Z oficjalnej strony internetowej autora.*

Na stacji benzynowej w Saint-Parres zapytał z głupia frant, czy nie mają Gitane'ów. Mieli. Gratka nie lada, wziął zatem wszystkie, jakie były - trzy i pół kartonu. Po namyśle kupił jeszcze dwadzieścia tabliczek najtańszej gorzkiej czekolady, dopił brunatne świństwo eufemistycznie nazywane tu kawą i ruszył dalej drogą N71, która niegdyś wiodła z Troyes do Dijon, a teraz z Troyes donikąd.

Okolice wciąż była piękna. Tak samo jak przed rokiem, szmaragdowe fale łąk i winnic opływały malownicze wysepki farm. Teraz jednak w wielu miejscach osuwiska i zwały nagiej ziemi porozdzierały łagodne wzgórza Szampanii, a opuszczone gospodarstwa straszyły ostrymi zębami powybijanych szyb.

Wszystko w kilkunastokilometrowym pasie wokół Olimpu zostało naznaczone jego piętnem, a szczególnie dotkliwie tam, gdzie brzeg relatywistycznego bąbla przeciął ludne miasto, ruchliwą autostradę albo jakąś znacznie szerszą rzekę. Tu, w Aube, uskok czasowy nie spowodował dużych zniszczeń ani ofiar w ludziach, oszpecił tylko krajobraz. Jednak cisza i martwota były równie przytłaczające jak w ruinach Nancy albo na wyludnionych bulwarach Monako.

Mike przejechał malutkie, ponure Virey-Sous-Bar - miścinę, która od zeszłego lata znajdowała się na pograniczu dwóch rzeczywistości - i po paru kilometrach wyłączył silnik. Wyboista i pełna rozpadlin droga zamieniła się tu w całkowity chaos kamieni przemieszanych z asfaltem. Cóż, jak zwykle ostatni odcinek będzie musiał przebyć pieszo.

Spokojnie dopalił papierosa, założył ciężki plecak, nogą dopchnął drzwiczki i pomaszerował na wschód przez bruzdy i wykroty, które kiedyś były czyjąś łąką albo uprawnym polem, a teraz przypominały na wpół rozgrzebany plac budowy.

Pół godziny później stanął na krawędzi sześćsetkilometrowej kaldery, twarzą do nieprzeniknionego i zawsze obecnego woalu mgły, za którą skrywał się Olimp. Teraz pozostało już tylko usiąść i czekać na tajemniczych odźwiernych. Usiąść i czekać...

Wracał płacząc i tak było za każdym razem.

Z potwornej depresji otrząsnął się dopiero przed samym rozjazdem w Troyes. Zjechał na pierwszy napotkany parking, gdyż po każdym ataku potrzebował przynajmniej piętnastu minut na doprowadzenie nerwów do jakiegoś takiego stanu. Kolejna obrzydliwa lura z automatu i na wpół wyschnięty croissant. Nie smakował mu, tak samo jak papierosy, których wypalił pięć - jednego po drugim - nim wreszcie uznał, że jest gotowy do dalszej drogi.

Wciąż trochę otumaniony usiadł za kierownicą, przekręcił kluczyk, wrzucił jedynekę i momentalnie przyduśił hamulec, gdy przed maską wychynęła nagle czyjaś głowa.

- Oszalałaś, kretynko? Życie ci niemiłe? - wykrzyknął przez okno, ale dziewczyna była już po drugiej stronie samochodu i otwierała drzwi.

- Sorrissimo, nie zauważyłam, jak wychodziłeś. Podwiesz mnie? - Beztrosko rzuciła niewielki skórzany worek przed siedzenie i usiadła obok Mike'a.

- To nie jest taksówka. - Nie miał ochoty na idiotyczne przygody z nieznajomymi. - Wysiadaj.

- Nic z tego. - Dziewczyna skrzyżowała hardo ramiona i siedziała dalej.

- Musisz mnie zabrać.

- Niczego nie muszę. Nie biorę po drodze łebków ani łatwych pańienek.

- No wiesz? Nie jestem żadną dziwką!

Mike westchnął. Czternaście, góra piętnaście lat, mon Dieu, jak one wcześniej zaczynają... I zawsze ta sama piosenka - nie jestem dziwką, po prostu nawiałam z chaty, bo starzy tłamsili moją indywidualność, moje prawo wyboru, moje bla bla bla... Pewnie obserwowała go od samego początku i uznała, że ten podłamany gość jest frajerem w sam raz dla niej.

- W porządku, nie jesteś dziwką. Ale i tak ze mną nie jedziesz.

Dziewczyna ani drgnęła.

- No co jest, mam cię wywlec siłą?

- Proszę, spróbuj.

- Merde! - zaklął Mike i odwrócił do niej zniecierpliwioną twarz. - Nie mam czasu na takie głupstwa!

- No to jedź - odpaliła beczelnie.

Arogancki, uparty szczeniak. Kto wie, może nawet rzeczywiście prysnęła z domu? Proste džinsy, bawełniany podkoszulek z nadrukiem, sportowe buty, krótko przystryżone, czyste włosy. prostytutki tak się nie noszą i nie są aż tak nachalne.

- Dobra, nie chcę robić scen. Wsiadasz jednak w najbliższym mieście.

- A dokąd jedziesz?

- Paryż - odparł lakonicznie.

- Aha.

- Tylko nie mów, że ci to po drodze.

- Ja w ogóle nic nie mówię - wzruszyła ramionami. - Ty chyba nie lubisz gadatliwych kompanów, mam rację?

Mike nie odpowiedział. Przeczekał kawalkadę rozpędzonych ciężarówek i włączył się do ruchu. Autostrada była zatłoczona jak zawsze, mimo że teraz kończyła się dziesięć kilometrów na wschód od Auxerre.

Lyon, Dijon, Besançon - to były już tylko rzędy literek na zdezaktualizowanych mapach. Kto wie, może miasta jako takie wciąż istnieją? Wątpliwe jednak, by Olimpijczycy używali tych samych nazw. Wszystkie ludzkie siedziby wraz z mieszkańcami w promieniu około trzystu kilometrów od ośrodka CERN pod Genewą spotkał ten sam los - przeniosły się w czasie względem reszty świata. Tak to można było najprościej określić, chociaż w istocie sprawa była bardziej skomplikowana.

Mike nabrał ostatnio upodobania do kanałów popularnonaukowych w rodzaju Discovery, wiedział zatem to i owo. Na przykład, że cała historia zaczęła się od nowego, potężnego akceleratora cząstek, w którym miano szukać jakiegoś tam bozonu czy wazonu Higgsa, i że jeden z eksperymentów prawdopodobnie poszedł zbyt dobrze. Notabene „prawdopodobnie”, „można domniemywać” czy „przypuszczam” były wyrazami, których różni mądrale używali najczęściej w swych wypowiedziach na temat Olimpu. Inni, to znaczy prawie wszyscy znani Mike'owi ludzie, reagowali już tylko krótkim „mnie to nie obchodzi”, albo po prostu wzruszeniem ramion.

Tak, oto cali my, zadrwił w duchu, schować głowy w piasek i udawać, że jest po problemie. Czy to jakaś część naszego instynktu samozachowawczego, ślepa hipokryzja jako odruch obronny? Jak można ignorować fakt, że jedna dziesiąta Europy jest już praktycznie nie z tego świata? Można, oczywiście, że można, wszystko można, byle tylko pozostać przy zdrowych zmysłach. Nieznane potrafi wykończyć, zabić irracjonalnym lękiem, porazić niemocą, odebrać spokój i wyssać do ostatniej kropli pewność siebie. Lepiej już zatrzaskać drzwi umysłu przed niewiadomą. Zdrowsze to i bezpieczniejsze dla szarych komórek, czyż nie? Tak jak kierowca furgonetki dostawczej, która właśnie ich wyminęła. Wciąż na mediolańskich rejestracjach, jakby nadal tam mieszkał i najspokojniej pod słońcem prowadził swój mały biznes - „EURONET - INSTALACJA, SERWIS. GIUSEPPE PETRONI”. A prawdopodobnie w Mediolanie już od wieków nie ma nikogo o tym nazwisku i pewnie samego Mediolanu nie ma!

Z drugiej strony, trudno było się temu dziwić. Z Olimpu nie posypały się jak dotąd żadne gromy, nikt też zeń nie zstąpił, by odebrać pozostałym siedmiu miliardom ludzi ich ziemię, wolność oraz godność. Czy jednak będzie tak zawsze? Boimy się, rozmyślał Mike, i mamy do tego zarówno prawo, jak i powody, bo nie rozumiemy. Nikt nie rozumie, nie wyłączając jajogłowych, którzy nieprzespane noce spędzają na pichceni coraz to nowych teorii. Zresztą, czy on sam coś więcej pojmował? Dlaczego Olimpijczycy są wobec nas tak obojętni? Dlaczego nie pozwalają mu się zobaczyć, a jeśli już pozwalają, to zaraz każą zapomnieć? Do licha, nie wiedział nawet, co się z nim dzieje, gdy przebywa na Olimpie, ani co z nim robią. Badali go, bawili się nim, oprowadzali po znajomych jak dziwoląga z panoptikum albo żywą skamieniałość? I czemu nigdy go nie zatrzymali, tylko puszczali wolno za każdym razem? A jeśli czynią tak celowo? Chcą, żeby wracał i znosił z wyżyn garście podarków dla maluczkich? Może coś jeszcze oprócz tego? Tylko co? Co?! Same pytania i żadnych odpowiedzi, od roku.

Mike zacisnął bezwiednie zęby, sięgnął po papierosy, wytrząsnął wprost do ust Gauloise'a i zaciągnął się dymem głęboko, łapczywie, wściekle.

- Można?

- Co? - odparł półprzutomnie.

- Przyfajczyć - uściśliła dziewczyna.

- Tylko uchyl okno, z łaski swojej.

- A poczęstujesz?

Mike westchnął i podał jej paczkę, zerkając na pasażerkę kątem oka.

- Widzę, że czujesz się jak u siebie - zauważył sucho. - Niemniej wolałbym, żebyś zdjęła te brudne buty z przedniej szyby.

- Kiedy mnie tak wygodnie - odparła z chłodną bezczelnością.

- Mam to gdzieś. Zabieraj je stamtąd.

- Rany, ale z ciebie sztywniak! - Dziewczyna wyduła pogardliwie wargi, nogi jednak opuściła. - Za fajkę też wielkie dzięki.

Czerwone pudełeczko pofrunęło za okno.

- Co, puste? No cóż, przykro mi, więcej nie mam. - Mike rozłożył ręce.

- A nie, zaraz, z tyłu powinny być jeszcze Gitane'y.

Czarne, dodał mściwie w duchu. Dziewczyna przechyliła się nad oparciem, poszeleściła przez chwilę i usiadła z powrotem, zębami zrywając banderolę z opakowania.

- Mogą być dla ciebie ciut za mocne - powiedział z przekąsem.

- Co, Gity? Kpisz chyba - parsknęła. Spodziewał się takiej reakcji.

Zapalniczka trzasnęła cicho, dziewczyna zaciągnęła się jadowym dymem jak skazaniec przed wejściem na szafot, i...

- A nie mówiłem? - Mike pokiwał głową. - To nie są papierosy dla ciebie, moja droga. Tak samo jak życie na drodze. Nie twój teatr, ale się uparłaś, prawda?

- Wpadł mi... ekhe!... jakiś pa-proch, to wszystko - wykrztusiła. - I nie pouczaj mnie, nienawidzę tego!

- Ani mi się śni. Po prostu powiedziałem, co myślę. Też mi wolno.

Mało ożywiony dialog urwał się całkowicie. Dziewczyna sztachnęła się jeszcze raz i drugi dla zachowania pozy, ale przy czwartym zaciągnięciu spasowała i wyrzuciła niedopałek przez okno. Przez następne parę kilometrów siedziała naburmuszona ze wzrokiem wlepionym sztywno przed siebie, po czym nieoczekiwanie stwierdziła:

- Ci Grecy musieli być naprawdę nieszczęśliwi.

- Słucham?

- Starożytni Grecy. Musieli być nieszczęśliwymi ludźmi, nie uważasz?

- Nie wiem, nigdy nie interesowałem się historią. Czemu tak sądzisz?

- Ja bym była. Co to za życie, kiedy wiadomo, że jakiś bóg - taki sam drań jak ty, tyle, że nieśmiertelny - gapi się ciągle na ciebie, łązi za tobą i pociąga za twoje sznurki wtedy, kiedy jemu się tak podoba. Czasem robi to dla zwykłej draki, albo po to, żeby dogryźć któremuś ze swoich kumpli. A człowiek musi udawać przed samym sobą, że ma wolną wolę i los we własnych rękach. Zastrana boska obłuda, na którą nawet poskarżyć się nie ma komu. Zupełnie, jakby od narodzin po piach mieszkać w kiciu. Co z tego, że wielkim jak świat?

- Przecież to tylko mity - uśmiechnął się blado Mike.

- Nieprawda, nie wierzę w to - odrzekła z przejęciem. - Dawni Grecy mieli zbyt trzeźwe łepety, żeby sobie to wszystko wymyślić ot, tak. Ich bogowie istnieli, i pogrywali sobie wrednie ze zwykłymi ludźmi, najpewniej z nudów. Nawet się z nimi pieprzyli, zboki jedne! Powiedz, czy nasi bogowie są tacy sami? - spytała nagle, zwracając ku niemu oczy pełne buntowniczego żaru. - Czy to też takie złośliwe, zblazowane gnojki, które traktują nas jak Disneyland?

- Jacy znowu bogowie? O czym ty mówisz?

- Och, daj spokój! - Nachyliła się jeszcze bardziej i niemal zawisła mu na ramieniu.

- Przecież musisz wiedzieć o Olimpijczykach więcej, niż ktokolwiek na tej zapaprannej planecie.

- Ja? - Mike nagle poczuł się nieswojo. - Skąd ci to przyszło do głowy?

- A stąd. - Dziewczyna sięgnęła za siebie i przeniósłszy drżącą z wysiłku rękę na lewe kolano, otworzyła dłoń. - Jesteś prometeuszem, prawda?

- Gdzieś ty... - zaczął i zaniepokojony odwrócił się pośpiesznie do tyłu.

- Merde, pozwoliłem ci wziąć papierosy, a nie grzebać w moich rzeczach!

- Wcale nie grzebałam, to leżało na siedzeniu. - Opuściła wzrok na małą, szarą, idealnie gładką kulkę wielkości piłeczki do golfa. - Pewnie wyturlała się, kiedy wyprzedzałeś tamtą cysternę. Co to właściwie jest?

Nie ty pierwsza o to pytasz, pomyślał, i nie ty ostatnia przeżyjesz kolejny dzień bez odpowiedzi. Po każdej wyprawie, kiedy już się wyszłochał i przejrzał na oczy, sprawdzał, co tym razem wcisnęli mu do plecaka. Może wreszcie znajdzie tam coś, co rozpozna, albo jakąś wiadomość. Pozdrowienie bodaj, jedno zwykłe słowo! Nie znalazł. Przedmioty zaś były najróżniejsze i tak niepojęte w swych funkcjach oraz przeznaczeniu jak komputer dla neandertalczyka. Niektóre zdawały się być samą obecnością bez zdefiniowanej fizycznej formy. Inne przywodziły mu na myśl fragmenty jakichś mechanizmów, tyle że po dramatycznych przejściach w ogniu i hydraulicznej kuźni. Jak okruchy ze złomowiska przyszłości albo puzzle dla geniuszy. Kto wie, może to jest właśnie to? Zwykła łamigłówka, a ten, kto ją pierwszy rozwiąże, wygra klucze do rajy. Zaś szare kulki wielkości piłeczki do golfa to jakiś rodzaj subtelnej podpowiedzi? Tylko one bowiem powtarzały się w prezentach Olimpijczyków. Zawsze znajdował je w plecaku, czasem jedną, częściej dwie lub trzy - jedyny niezmienny element wycieczek na Tamtą stronę, jeśli nie liczyć łez i czarnej depresji.

- Nie wiem - westchnął ciężko, kolejny raz podczas tej jazdy.

- Akurat!

- Mówię szczerze. - Mike przemknął wzrokiem po jej napiętej twarzy i sięgnął po papierosa. - Odłóż to lepiej tam, gdzie było.

- Najpierw mi odpowiedz.

- Na co?

- Na moje pytanie.

- Które? To o Disneylandzie?

Jej mina była jednak śmiertelnie poważna.

- Nie potrafię, nawet gdybym chciał - pokręcił głową.

- Zabronili ci mówić? Oni? A może nasi?

- Nie.

- No to dlaczego?

- Bo nie mam wiele do powiedzenia.

- W to już na pewno nie uwierzę!

- Twoja sprawa, mała. - Mike zapalił papierosa.

- Moja? - Głos dziewczyny zabarwił się nutą oburzenia. - A co z resztą ludzi? Im też tak odpowiadacie? Do cholery, jest tylko garstka tych, którzy mają przywilej wstępu na Olimp! Chyba coś nam się od was należy, nie sądzisz?

- A co ja mogę? - odpalił jej na wpół z irytacją, na wpół z żalem. - Co ja, do diabła, mogę? Powiedzieć ci, jak to wygląda? Bierzesz towar - słodycze, plastikowe zabawki, papierosy, kartki pocztowe - docierasz z tym na Wał Olimpijski, a potem siadasz i po prostu czekasz. Godzinę, dzień, tydzień, nie ma żadnej reguły. Następne, co wiesz, to że jesteś już z powrotem, po naszej stronie. Beczysz jak dziecko i zwijasz się w konwulsjach psychicznej udręki, dla której nikt jeszcze nie wymyślił nazwy. Najgorsze mija stosunkowo szybko, ale ślad pozostaje w duszy na zawsze. Jakaś niewypowiedziana melancholia, tęsknota, gorycz. Nigdy nie mogę przyspilić dominującego uczucia, ani powiedzieć, dlaczego nam to robią. A także, dlaczego nikomu nie pozwalają zabrać z Olimpu żadnych wspomnień poza jednym: że się tam w ogóle było. Nie wiem gdzie łąziłem, co widziałem, kto mnie dotykał. Nie wiem nawet - a chodzę tam niemal od samego początku - czy ten cholerny tytoń i inne śmieci, których trzydzieści kilogramów z okładem targam za każdym razem na plecach są im do czegośkolwiek potrzebne. Rzeczy po prostu znikają, a na ich miejscu znajdują pełno takich cudactw, jak ta kulka w twojej ręce. Dziesięć razy cięższa od ołowiu, ale lewituje, jeśli pobędzie dłużej niż pół godziny w temperaturze ludzkiego ciała. Nie przeczę, że chodzę tam dla pieniędzy - rząd i różne inne ważne instytucje płacą za każdą duperele, którą przyniosę z Olimpu. Ale to nie jedyny powód, i chyba nawet nie najważniejszy. Myślisz, że ja nie chcę wiedzieć, jacy oni są? Chcę, i na każdą wyprawę idę z nadzieją, że może wreszcie się dowiem. Wracam taki sam głupi, jak zawsze. Nawet moja podświadomość jest czysta, eksperci już to sprawdzili. Dlatego właśnie, gdy ktoś taki, jak ty pyta mnie, jacy oni są, rozkładałam bezradnie ręce.

- Pranie mózgu, wiedziałam.

- Nie nazwałbym tego w ten sposób. - Mike wciągnął dym zastanawiając się, kogo broni.

- Nie? A jak?

- Bo ja wiem... Nikt z tych, którzy odwiedzają Olimp jeszcze nie zwariował i nie przestał być sobą, przynajmniej ja o takim przypadku nie słyszałem. Oni nie mieszają nam w głowach, porażają jedynie czasową amnezją, to wszystko.

- I skąd ta pewność? - Zerknęła na niego podejrzliwie. - Przecież sam mówisz, że niczego nie pamiętasz, więc mogli zrobić z tobą, co im się żywnie podobało. Choćby zaprogramować jak bombę z czasowym zapalnikiem, albo...

- Bzdura! - Przerwał jej gwałtowniej, niż to było potrzebne, bo słowa dziewczyny zbyt wyraźnie przypominały echo jego własnych myśli. - Gdyby Olimpijczycy chcieli wyrządzić nam krzywdę, zrobiliby to już dawno. Dwa i pół tysiąca lat różnicy to tak, jak my przeciwko armii Aleksandra Wielkiego. Jakie szanse mieliby starożytni wobec naszych czołgów i samolotów? Tak samo nikłe, jak my mielibyśmy w konfrontacji z Olimpijczykami. A jednak ciągle tu jesteśmy i żyjemy jak dawniej. W pewnym sensie...

- W pewnym sensie, jasne - powtórzyła z sarkazmem. - Małpy w zoo też w pewnym sensie jedzą, śpią i pieprzą się jak gdyby nigdy nic. A kraty i tłumy gapiów to tylko drobny szczegół, prawda?

- Nie czuję się jak małpa w klatce. - Mike odparował słabo.

- A ja owszem. - Dziewczyna zacisnęła pięstkę. - I za to ich właśnie nienawidzę, że nagle poczułam się nieważna i śmieszna, jak zwierzę w cyrku. Założę się, że ci z CERN-u zrobili bąbla celowo, żeby, żeby...

- Żeby co?

- Nie wiem jeszcze, ale się dowiem, zobaczycie. - Jej twarz przybrała zacięty wyraz. - Oni też zobaczą... hej, tu jest parking! Zjedź na moment, muszę do kibla.

- Mogłaś powiedzieć trochę wcześniej - mruknął, skręcając z piskiem opon na dojazdówkę.

- Sorry, zauważyłam w ostatniej chwili - rzuciła bez najmniejszej skruchy. Ledwie zaparkował, wyskoczyła z auta i pobiegła w stronę damskiej toalety.

Mike miał do wyboru zostawić ją i odjechać, albo poczekać i powiedzieć „adieu” nieco taktowniej. A, niech tam, zaczeka. Może ta mała to doceni i nauczy się trochę lepszych manier. Poza tym warto sprawdzić, skoro już się zatrzymał, czy w sklepiku dla podróżnych nie mają jakichś ludzkich papierosów.

Niestety, jego ulubionych Gauloise'ów nie było, wziął więc dwie paczki Marlboro. Właśnie wręczał ekspedientce należność, kiedy ujrzał ją przez szklaną ścianę - cwana gówniarę, która oddalała się w pośpiechu od jego samochodu i z jego manelami na plecach!

- O, ty podstępna suko! - zaklął i wybiegł nie odbierając reszty, ale dziewczyna już wrzucała plecak na tył jakiegoś pick-upa, który z rykiem turbosprężarki wystrzelił spod wiaty, gdy tylko jej niebieskie dżinsy zniknęły na dobre w szoferce.

I tyle ją widział.

- Boże, jak mogłem być takim durniem! - syknął, zaciskając pięści w bezsilnym gniewie. - Trzeba ją było wykopać, wywlec tę małą zdziurę za włosy, tak jak chciałem! Szlag by to trafił!

To miał być jego ostatni wypad na Olimp. Przynależał to Yvette i Bóg mu świadkiem, że zamierzał dotrzymać słowa. Jeszcze zanim bąbel pojawił się i pękł, marzyli o domku na Rivierze, najlepiej z niewielką restauracyjką albo kafejką. Tyle, że na marzeniach się kończyło, bo nie mieli za co ich zrealizować. A potem, w dwa dni po katastrofie, Mike wyruszył do Nevers. Miasto zostało przecięte przez granicę relatywistycznego zaburzenia niemal dokładnie na pół i wszyscy mieszkańcy jego wschodniej części (tej, która teraz należała do Olimpu) przepadli w rozszalałej rzece czasu. W zachodniej jednak, choć zredukowanej przez czasowy uskok do kupy gruzów, większość ludzi przeżyła. Istniała duża szansa, że jego kuzyn Desmond znajdował się pośród nich.

Mike nigdy go nie odnalazł, pomimo trzech upiornych dób spędzonych w polowych szpitalach i punktach informacyjnych. Jego nagła troska o los krewniaka była o tyle dziwna, że nie darzył Desmonda jakąś szczególną sympatią, a jednak szukał go uparcie, zapuszczając się coraz głębiej w ruiny Nevers. Nie myślał o tym, jak bardzo ryzykuje i że włóczy się po zupełnym bezludziu na wschód od dworca kolejowego, gdzie nie było nikogo, kto mógłby mu przyjść z pomocą, gdyby coś się stało. Po prostu parł przed siebie jak robot, coraz dalej i coraz wyżej po hałdach cegieł i żelbetowego rumoszu. Nie wiedział również wówczas, co to jest granica Olimpu, ani tego, że w pewnej chwili ją przekracza.

I tak to się zaczęło. Olimpijczycy wpuścili go i po tygodniu pozwolili wrócić do jego świata. Przejeżdżający patrol żandarmerii zabrał go ze schodów byłego merostwa i odstawił do najbliższego punktu Czerwonego Krzyża, pokrwawionego i zanoszącego się histerycznym szlochem. Wrzeszczał i wymyślał Bogu ducha winnym policjantom od najgorszych. Wkrótce jednak wróciło mu opamiętanie, a wraz z nim potworne przygnębienie i kac moralny. Musiał zapalić, sięgnął zatem do kurtki, potem do spodni. Wszędzie jednak zamiast papierosów znajdował tylko dziwaczne gadżety, którymi wypchane były jego kieszenie.

To był pierwszy urobek Mike'a, aczkolwiek wtedy nie miał jeszcze o tym pojęcia. Dziwne świece nie interesowały go i nie przedstawiały dlań żadnej wartości. Jednak dowódca patrolu, który go znalazł, najwidoczniej wydał się wielce podejrzany. Żandarm najprawdopodobniej zawiadomił kogoś z oficjeli, bo kiedy Mike wrócił do Paryża, dwóch nadszpiewanie miłych urzędników państwowych już czekało na niego w domu. Zadali mu mnóstwo pytań, na koniec zaś zaproponowali mu współpracę. Mike wahał się, dopóki jeden z nich nie wręczył mu czeku na niebotyczną sumę trzydziestu tysięcy euro. Nie zastanawiał się już dłużej. Podpisał umowę, następnego dnia zrealizował czek i od tego czasu wyprawy na Olimp stały się dla niego chlebem powszednim.

- Niech to szlag! - powtórzył wsiadając do samochodu.

I cóż mógł teraz zrobić poza wykrzykiwaniem przekleństw? Nic. Przecież nie będzie goił pick-upa swoim marnym rękem! Nie powiadomi również żadnych cywilnych organów ścigania, bo oficjalnie żadna kradzież nie miała miejsca, nieoficjalnie zaś... No trudno, ma nauczkę. I tylko szkoda dwudziestu kawałków, a jeszcze bardziej słowa, którego nie dotrzymał.

Yvette od razu się domyśliła, że coś poszło nie tak. Jego szara jak popiół twarz i ponury wzrok były aż nadto wymowne.

- Mój Boże, wyglądasz jak własny cień - rzekła, odbierając od niego kurtkę. - Co się stało?

Przez resztę drogi do Paryża układał w myślach odpowiedź na to pytanie, teraz jednak zabrakło mu słów.

- No powiedz - nalegała stroskana. - Potraktowali cię gorzej, niż zwykle? Miałeś wypadek?

- Można to tak nazwać - bąknął i pośpiesznie zmienił temat: - Były do mnie jakieś telefony?

- Kilka, ale nic ważnego. - Yvette nie dała się zbyć. - No, więc?

Mike wiedział, że nie uniknie wyjaśnień i bynajmniej nie zamierzał niczego ukrywać przed jedyną osobą, która go rozumiała i zawsze twardo stała po jego stronie. Niemniej myśl, że zawiódł oczekiwania żony sznurowała mu usta.

- Posłuchaj, będę tam musiał pójść jeszcze raz - wyrzucił z siebie nie patrząc jej w oczy.

- Gdzie, na Olimp? Przecież...

- Wiem, co ci obiecywałem, nie musisz mi przypominać. Ale zrobiłem dzisiaj koszarne głupstwo i wszystko wzięło w łeb.

Mówił, jednocześnie zerkając w lustro. Yvette miała rację - plecy zgarbione jak u starca, wychudłe policzki, oczy zgaszone i pełne melancholii, zmarszczki, których jeszcze rok temu nawet nie potrafiłby sobie wyobrazić - słowem, cień człowieka. Może oni rzeczywiście dokonują na nim jakichś eksperymentów, cholera wie? Przecież sama depresja to za mało, by kogoś tak zmienić fizycznie, tym bardziej, gdy ogranicza się jedynie do krótkotrwałych epizodów.

- Mike?

- No?

- Powiesz coś więcej, czy tak będziemy tu stali w przedpokoju? - Głos Yvette był łagodny, lecz nieustępliwy.

- Wściekniesz się na mnie.

- Zobaczymy. Mów.

Mike westchnął i przeszedł do salonu. Usiadł w fotelu, zapalił papierosa i wreszcie zaczął opowiadać jej historię tego dnia.

- I zabrała ci wszystko? - spytała cicho, kiedy skończył.

- Wszystko, poza jedną szarą kulką. - Kącki ust wykrzywiły mu się z goryczy. - Zapomniała o niej, albo zostawiła mi z premedytacją, taki złodziejski gest na pożegnanie.

- Pięćset euro...

- Tak, zamiast piętnastu czy dwudziestu tysięcy - dopowiedział, kiwając niewesoło głową. - A nam ile potrzeba?

- Nieważne. - Yvette położyła mu swoją drobną dłoń na kolanie. - Zdobędziemy te brakujące pieniądze w jakiś inny sposób.

- Niby w jaki? - skrzywił się. - Kredyt? Wzięliśmy już wszystkie z możliwych.

- No to pożyczymy od rodziny i znajomych. W końcu dziesięć tysięcy to nie jest jakaś gigantyczna suma.

- Nie będziemy od nikogo pożyczać, wykluczone - zaprotestował. - Już i tak siedzimy po uszy w długach.

- W takim razie poszukajmy czegoś innego, tańszego, niekoniecznie nad morzem. - Nie trafi się lepsza okazja, dobrze wiesz. W żaden inny sposób nie uzbieramy tych dziesięciu kawałków na czas, nie ma takiej siły.

- Żaden dom, żaden pałac na Lazurowym Wybrzeżu nie jest wart twojego zdrowia, a może nawet życia!

- Dramatyzujesz, dziewczyno.

- Nie dramatyzuję, tylko się po prostu martwię. Ciekawe, czy kiedy spojrzalesz w lustro, widziałeś to samo co ja? A wiesz, ile razy kochaliśmy się w ciągu minionego roku?

- Yvette, proszę...

- Cztery razy. Gorszą statystykę mają chyba tylko w zakonach. Chcę, żeby to się już wreszcie skończyło, z domkiem, czy bez.

- I skończy się, przysięgam na wszystko, co jest mi drogie. - Mike ujął ręce żony w swoje dłonie.
- To będzie naprawdę moja ostatnia wyprawa... Czekał, dokąd idziesz?

- Zadzwoń do siostry.

- Yvette!

Trzasnęła drzwiami. Mike ukrył twarz w dłoniach, zagubiony i rozdarty. Zgadzał się ze wszystkim, co powiedziała. Powinien wstać i pójść do niej - zauważył jej drżące wargi, jakby za chwilę miała się rozplakać - ale może lepiej nie? Dobrze, niech sobie pogada z siostrą, jeśli to ma jej przynieść jakąś ulgę. Chociaż, znając Matyldę, nie robił sobie większej nadziei.

Zrezygnowany, włączył telewizor i zaczął od niechcienia przerzucać kanały.

- ... kolejne z pytań, panie profesorze, odnosi się do kwestii różnicy w tempie przepływu czasu pomiędzy bąblem a naszym normalnym, że się tak wyrażę, światem. Ścisłej, jakiej użyliście metody, by tę różnicę określić i czy naukowcy są pewni, że uzyskany wynik jest prawidłowy?

- Och, najzupełniej pewni, droga pani redaktor, najzupełniej. Co zaś do samej metody, to nie ma w niej niczego skomplikowanego. Jak pamiętamy, dla obserwatora w naszym układzie

odniesienia horyzont lokalnej dystorsji czasoprzestrzennej, spowodowanej przez negatywny potencjał grawitacyjny osobliwości genewskiej...

- Panie profesorze, mieliśmy chyba umowę.

- Słucham? Ach, tak, prościej, miałem mówić prościej, przepraszam. No więc, ee... jak wszyscy pamiętamy, przez kilka pierwszych minut relatywistyczny bąbel był jak ogromna kula ognia...

- Wskutek czego omal nie doszło do światowego konfliktu, bo wyglądało to jak najprawdziwsza eksplozja nuklearna. Proszę mi nawet nie przypominać, media zbłądziły się wtedy okropnie.

- No cóż, zjawisko istotnie mogło przerazić. Ale wracając do tematu: to, co widzieliśmy, było efektem przenikania materii - przede wszystkim powietrza - z wnętrza bąbla do naszego kontinuum. Teraz oczywiście już wiemy, że obydwa obszary różniły się znacznie prędkością przepływu czasu, a zatem molekuly gazu, przedostające się z tamtej strony, miały względem tych tutaj wielką nadwyżkę energii kinetycznej. Wyhamowując gwałtownie do normalnych, nazwijmy to, prędkości oddawały tę nadwyżkę głównie w postaci ciepła, stąd owa ognista kula. Bąbel był w tym okresie niestabilny i gdyby taka niestabilność potrwała trochę dłużej, najprawdopodobniej zwyczajnie by wyparował. Wkrótce jednak ktoś lub coś w jego wnętrzu opanowało sytuację i od tamtej chwili aż do momentu kolapsu bąbla widzieliśmy już tylko jego jednolicie szarą, fizycznie neutralną i nieprzenikliwą powłokę.

- No dobrze, ale co z odpowiedzią na wcześniejsze pytanie?

- Jak wyliczyliśmy wartość współczynnika relatywistycznego? Opierając się na pospolitej kalorymetrii i analizie widmowej. Ilość energii, jaka uwalniana się podczas zderzeń cząsteczek gazu na granicy bąbla była, najogólniej rzecz biorąc, wprost proporcjonalna do różnicy prędkości molekuł w obydwu tych czasoprzestrzeniach. Wystarczyło zatem dokładnie przeanalizować dane spektrofotometryczne, i gotowe. Szkolna fizyka.

- Hm, dla mnie brzmi to wszystko bardzo mądrze i skomplikowanie, ale skoro pan twierdzi, że to proste, panie profesorze, nie pozostaje mi nic innego jak uwierzyć na słowo. Tak czy inaczej, wyszło wam owe słynne dwa tysiące trzysta czterdzieści jeden lat, prawda?

- Plus minus sto. Innymi słowy, czas wewnątrz bąbla płynął około dwa miliony razy szybciej, niż u nas.

- Dwa miliony, mon Dieu! Większość ludzi wciąż nie chce dać temu wiary.

- Ich wiara bądź niewiara nie ma znaczenia w obliczu bezspornych faktów, droga pani redaktor.

- No tak, naturalnie... A jak ustosunkuje się pan do pogłosek o tym, że od dawna znana jest wam prawda o bąblu, tylko z jakichś powodów ukrywacie to przed ludźmi?

- W ogóle się nie ustosunkuję, gdyż jest to bzdura wyszana z palca.

- To znaczy, że nasi telewidzowie nadal pozostaną bez odpowiedzi na pytanie: co działo się w promieniu kilkuset kilometrów od Genewy przez jedenaście godzin pomiędzy czternastym a piętnastym grudnia ubiegłego roku?

- Cóż mogę im rzec, pani redaktor? Są w doborowym gronie! Mamy całą masę teorii i spekulacji, które intensywnie sprawdzamy, na razie jednak wolałbym nie przedstawiać szerokiej opinii publicznej czegoś, czego nie jesteśmy pewni w stu procentach...

I tak sobie pieprzycie zasłaniając swoją frustrację i indolencję parawanem nadętej terminologii, pomyślał z niesmakiem Mike. Chowacie się w niej jak golasy po krzakach. Żaden z was jednak nie przyzna się otwarcie, że Olimpu nie rozumie i zrozumieć nie jest w stanie, bo wasz aparat pojęciowy jest przestarzały od dwudziestu czterech stuleci.

Skrzypnęły drzwi. Mike bez żalu wyłączył odbiornik i odwrócił się do Yvette.

- No i co z twoją siostrą? - spytał pozornie niedbałym tonem.

- Wkurzyła mnie.

- Jak zawsze - mruknął pod nosem.

- Ma dwa salony piękności w samym centrum, ale oczywiście w tej chwili inwestuje w nowy klub odnowy biologicznej i absolutnie wszystkie środki utopiła w tym projekcie, przykro jej bardzo. Jakbym nie znała Matyldy i jej obsesji na punkcie finansowych rezerw!

- To po co w ogóle dzwoniłaś?

- Bo myślałam...

- Daj spokój, to nic nie da. Nikt w tych niepewnych i zwariowanych czasach nie pożyczyci ci takiej kwoty, zapomnij.

- Mogę jeszcze spróbować u matki...

- Nie - rzekł stanowczo. - Albo przejdę się ten ostatni raz na Olimp, albo dzwoniemy do pośrednika i odkręcamy całą transakcję. Trzeciego rozwiązania po prostu nie ma.

- Trochę szkoda... - szepnęła z nieukrywanym żalem. - Ten domek w Sete jest wręcz idealny.

Mike przełknął ślinę, po czym wstał i objął ją czule.

- I jest nasz, jeśli tylko zechcesz mi zaufać - wyszeptał spoglądając głęboko w jej ciemne oczy, które przywodziły na myśl bizantyjską ikonę.

- Boję się. - Przytuliła się do niego mocniej.

- Czego? Że znowu ktoś mnie okradnie? - Jego uśmiech nie był do końca szczery. - Bez obaw, jedna lekcja w zupełności mi wystarczy.

- A jeśli Oni coś ci w końcu zrobią? Jeśli cię tym razem nie wypuszczą, albo...

- Przestań gadać głupstwa, Yve. Byłem tam już ponad trzydzieści razy i zawsze wracałem. Dlaczego teraz miałoby być inaczej?

- Nie wiem.

- Ja też nie. I dlatego zrobimy tak: jutro z samego rana zatelefonujesz do tego agenta i umówisz się na spisanie umowy...

- Ale oni nie mają biura w Paryżu.

- A gdzie?

- Tylko w Sete. I nie załatwiają interesów przez telefon czy internet. Staroświecka firma, lubią bezpośredni kontakt z klientem.

- No to przejedziesz się do Sete, czemu nie? Wyjazd na południe dobrze ci robi.

- I chcesz, żebym podpisała umowę?

- Tak, włącznie z wpłaceniem zaliczki, żeby nie było już żadnych wątpliwości. - Poczuł, jak drży w jego ramionach. - Co się dzieje, Yve?

- Bardzo cię kocham...

* * *

Wyszedł, nim poranne słońce rozgrzało ulice, żeby zdążyć przed szczytem i kilometrowymi korkami, z których słyła nadsekwańska metropolia. Chciał tę ostatnią trasę mieć jak najszybciej za sobą. Śpieszył się, ale jakoś tak irracjonalnie, bo zamiast pojechać najkrótszą trasą do Olimpu, przez Auxerre, obrał o wiele dłuższy i pełen objazdów kurs na Avignon. Dopiero za Orleanem dotarło do niego, że traci niepotrzebnie czas na krajoznawcze wycieczki i w Vierzon odbił na Bourges.

Błąd, że nie włączył radia i nie słuchał wiadomości, gdyż wiedziałby wtedy o rolniczych protestach i blokadach dróg na tym terenie. Kląć swych głupich współziomków zawrócił do Vierzon, a stamtąd pojechał w kierunku Clermont-Ferrand. Nigdy przedtem nie gościł w tych stronach i kilka razy zaplątał się w jakieś podrzędne dróżki.

Okolo południa dotarł wreszcie do Cosne-d'Alier, „słynnego na całym świecie ze swych serów”, jak obwieszczała kolorowa tablica przy wjeździe. Może kiedyś, kiedy kozy, krowy i ludzie żyli tu sobie w sielskiej komitywie. Teraz jednak przegnała wszystkich odpychająca aura Olimpu i

Cosne-d' Alier przypominało miasteczko-widmo ze spaghetti-westernów. Nie było tu żadnych poważniejszych zniszczeń, co tylko podkreślało martwość i niesamowitość tego miejsca. Domy, sklepy i światła na skrzyżowaniach, które działały wbrew logice i potrzebie, wyglądały jak filmowa dekoracja. Brakowało tylko sprzętu i statystów. Mike przejechał cichymi niczym kościelna nawa ulicami, minął stację Shella (a raczej jej poczerńiałe zgliszczca), dociągnął jeszcze kawałek i zgasił motor.

Wał Olimpijski wyrastał w tym miejscu ze zbocza jak mur wielkiej, zerodowanej warowni. Jeszcze dwa, może dwa i pół kilometra w linii prostej, jeśli znajdzie jakieś wejście na przełęcz w miarę wolne od gładów. Tak czy siak, nie powinno mu to zająć dłużej niż godzinę.

Zarzucił plecak na ramiona i ruszył zdefasonowanym poboczem, mijając po drodze wrak ciężarówki. Ciekawe, czy jechała tędy, gdy nastąpiły wstrząsy, czy też kierowca był tak ślepy lub pijany, że nie zauważył uskoku? Buda została na jezdni, ale szoferka zawisała nad rowem wraz z wielką połacią asfaltu, jak stalowa zakąska na jezorze jakiegoś monstrum.

Mike zapamiętał ten znak orientacyjny i skręcił w lewo, starając się wykorzystać do maksimum resztki szosy. Było gorąco, pusto i tak nieprawdopodobnie cicho, że głos, który nagle usłyszał, zabrzmiał jak armatni wystrzał. Jakaś rozproszona grupka ludzi wynurzyła się właśnie zza jednego z obrywów i kilka osób jednocześnie wskazało go palcami. Błysnęły flesze - czysty idiotyzm, w pełnym słońcu i na otwartej przestrzeni - a potem grupa zwarła się i podążyła w ślad za nim.

Mike osłonił oczy i popatrzył w dół stoku. Ktoś tam się zorientował, że ich zauważył i zamachał do niego ręką, piszcząc wniebogłosy. Japończycy, a niech to! W Paryżu człowiek potykał się o nich na każdym kroku i dostawał szału od ciągłego błyskania aparatów. Nie było na nich siły - fotografowali wszystko i wszędzie, gorzej niż policyjne kamery na skrzyżowaniach. Już nie ludzie, ale istne automaty do archiwizacji danych.

- Pieprzona szarańcza. - Opuścił rękę i pomaszerował dalej, lecz po kilkudziesięciu metrach znów obrócił głowę na dźwięk osuwających się kamieni.

Jeden z turystów odłączył od reszty kompanii i puścił się niemal biegiem w jego stronę. Co kilkanaście susów robił przystanek i sprawdzał, czy z tej pozycji będzie miał wreszcie dobre ujęcie nadzwyczajnego zjawiska - człowieka, który z własnej i nieprzymuszonej woli wspina się do Strefy Zakazanej.

- Zjeżdżaj, kretynie! - krzyknął Mike ze złością i cisnął w Japończyka okrucieństwem skały, jednak z niepojętych powodów tamten potraktował to jako przyjacielski, zachęcający gest i tylko przyśpieszył. Zrobił jeszcze parę kroków, a potem zgiął się nagle w pół jakby otrzymał cios w splot słoneczny, zwymiotował na własne buty i w końcu dał za wygraną, wycofując się w boleściach do swoich.

Mike splunął i ruszył dalej. Głosy za jego plecami wkrótce ucichły i znów był sam, przynajmniej do czasu, kiedy przekroczy granicę Olimpu.

Okazało się, że nie docenił zwodniczości górskich krajobrazów i na szczyt Wału dotarł dopiero po drugiej. Pierwsze krople deszczu uderzyły go po twarzy, a po chwili nad Masywem Centralnym rozpełtała się letnia nawałnica, która zamknęła go między ścianą szarości, a kurtyną Olimpijskiej mglistej bieli.

Widoczność zmalała naraz do pół metra. Stąpnął nieuważnie na jakiś skalny garbek i nagle mgła rozwiąła się. Był po drugiej stronie.

* * *

- To mój ekspedytor, nieprawdaż?

- Wszyscy oni tacy podobni do siebie, Ohe. Ale piętno istotnie się zgadza.

- A zatem uzyskałem nad wami krytyczną przewagę w ruchach! Potwierdzacie?

- Nie można zaprzeczać oczywistemu, Ohe. W rzeczy samej wysunąłeś się na prowadzenie.

- Czym, jak widać, wyraźnie popsujesz humor naszemu przyjacielowi. Rozchmurz się, Isteo, przecież twoja kolej też kiedyś nadejdzie.

- Nie sądzę, panowie. Znudziła mnie ta gra, wycofuję się.

- Znudziła cię, bo przegrywasz. Przyznaj, że twój wybór pionków był raczej chybiony.

- Znudziła mnie dlatego, że nie widzę w niej sensu i nie podzielam twojej fascynacji estetyką przypadku, Ohe. Wszyscy mamy podobne tęsknoty, ja również, ale przez tę pustą fanaberię tylko oddalamy się w czasie od ich zaspokojenia.

- Czasu, Isteo, mamy akurat pod dostatkiem, w przeciwieństwie do rozrywek. Jakież by to było pospolite, gdybyśmy po prostu sobie wyszli i zrobili, co chcemy! A tak, przeżyjemy w końcu jakiś dreszcz emocji, zdziwimy się, zostaniemy zaskoczeni rezultatami. To bardzo przyjemna perspektywa. A ty, Ohe, ciesz się, bo najprawdopodobniej jako pierwszy z nas przeprowadzisz się i poznasz nowych przyjaciół.

Leży na fioletowej... nie, czerwonej jak krew... śnieżnobiałej z błękitnymi żyłeczkami... kolor trawy zmienia się niczym w kalejdoskopie, chwilami w ogóle znika i znika również sama trawa, a potem przepływa nad nim góra jak chmura - kabotyński rym, ale tak właśnie jest, Matterhorn światła żeglujący majestatycznie w opalizującym przestworze...

Muszę wstać, pomyślał Mike mechanicznie, muszę się podnieść z tego psychodelicznego trawnika i iść dalej. Dokąd? Do Nich, naturalnie. Są mu przecież winni domek nad morzem i szczęście wiekuiste, amen. Tylko czemu wszędzie jest tak pusto jak w lunaparku po sezonie? I gdzie ja mam swój plecak?

- Tutaj - podpowiedziało powietrze dźwiękiem harfy i zacinających się kół zębatych. - To już ostatnia partia części, które oddasz dystrybutorom. Więcej nie będziesz fatygowany. Gdzieś bardzo, bardzo daleko uderza w pierwsze takty Wielka Orkiestra Dęta Pod Dyrekcją Samego Pana Boga, ale coś kiepsko jej idzie i Marsz Szwoleżerów rozjeżdża się momentalnie w fałszach i kakofoniach...

- Więcej nie będę, rozumiem... - bąka okrutnie speszony, gdyż w istocie nie rozumie niczego i jak zawsze nie wie nawet, z kim albo z czym rozmawia. Powietrze jest absolutnie nieruchome, a mimo to z ziemi wokół niego podrywają się nagle tumany drobnego piasku i wirując miniaturowymi tornadami odpływają coraz dalej i dalej...

- Chodźmy - słyszy jednocześnie z bardzo bliska i z oddali. Z wydmy nieopodal wypęła leniwie ogromna dżdżownica i w chrzęście żelastwa zamienia się w pociąg, który po diamentowych szynach odjeżdża wprost do nieba. - Najwyższa pora, żeby Ohe zwierzył się w końcu ze swych planów co do nowej enklawy.

Nie, do niego nikt tu nie mówi, nikt już o nim chyba nawet nie pamięta. Mgnienie oka, tak szybko załatwiają z nim sprawy i zawsze musi przypominać sobie o tym od nowa.

- Isteo, a ty dlaczego nie idziesz?

Plecak jest lżejszy niż zwykle, kiedy podnosi go i zakłada na ramiona. Coś jednak chwyta zań niespodziewanie i ciągnie do tyłu, lekko acz uporczywie...

- Zostaw to. - Jeden głos wybija się ponad pozostałe, a chmura złocistego pyłu układa się przed oczami Mike'a w mgławicową rzeźbę czyjegoś zniecierpliwionego oblicza. - Zostaw i ukaż im obosieczność dziecinnych igraszek z prawdopodobieństwem.

- Dlaczego koniecznie chcesz nam wszystkim popsuć zabawę, Isteo? - Nad pustynią przetacza się grzmot i w tysięcznych miejscach piasek tryska wielobarwnymi mandalami. - Naucz się wreszcie rozkoszować uczciwą przegraną, to bardzo orzeźwia.

- Wasza zabawa niesie w sobie ziarna chaosu, którym szczególnie gardzę. - Głos wibruje tuż nad głową Mike'a. - I jest zupełnie niepotrzebna. Jedną z niewielu rzeczy, Ohe, o których nieprzerwanie śniesz jest morze, nieprawdaż? Nie żaden kaertonian, lecz autentyczny ocean ze słońcą bryzą o poranku i zdradliwie łagodnym bezkresem wód. Czemu zatem po prostu tam nie pójdziesz?

- Morze to jedno, a samotność to co innego, przyjacielu. Z kim wiódłbym swoje wieczorne dyskusje? Enklawa musi powstać i dojrzeć, żebym miał interlokutorów na odpowiednim poziomie. Nie oszukujmy się, to nasze małe grono wyczerpało już praktycznie wszystkie tematy.

- Tylko skąd pewność, że sub-enklawa powstanie właśnie tam, gdzie sobie wymarzyłeś?

- Ależ nie ma takiej pewności, i na tym polega cały urok gry, nie pojmujesz?

- Nie, Ohe, pomimo sięgnięcia do ostatnich pokładów mojej dobrej woli. I nie mów mi, że wbudowane w tę dziecinadę ryzyko stanowi dodatkowy smaczek, bo również ten punkt widzenia jest mi obcy. Czy zastanowiliście się choćby przez krótką chwilę co będzie, jeśli naszym prymitywnym kuzynom, poprzez których tak lekkomyślnie wyzywacie los, przyjdzie kaprys rozmieścić krytyczne ilości treostatów w pierścieniu ognisk wokół fiorei?

- To scenariusz o skrajnie niskim współczynniku prawdopodobieństwa.

- Różnym jednak od zera, bo przecież nie mogliśmy w swych kalkulacjach uwzględnić wszystkich potencjalnych zmiennych.

- I dzięki temu gra jest tym, czym jest.

- Szaleństwem bez uzasadnienia, owszem. Nawet jeżeli trafnie przewidziałeś efekty każdego z posunięć i rękami takich niczego nieświadomych biedaków, jak ten ekspedytor, wybudujesz swą wymarzoną enklawę nad brzegiem Mediterraneo, i tak przegrasz.

- Nie sądzę, Isteo, gdyż jak dotąd nie popełniłem żadnego błędu.

- Wyjąwszy błąd zasadniczy, jakim było wymyślenie owej gry. „Twoja” enklawa nigdy nie będzie twoją, bo plonem z nasion, które tak lekkomyślnie rozsiewacie, będą nowe, odrębne historie, bez miejsca dla żadnego z nas.

- Jesteśmy rozczarowani.

- Czy to cała wasza odpowiedź?

- Prócz tej, że gra musi się toczyć do końca, z tobą czy bez ciebie.

- Zatem beze mnie. I bez ekspedytorów, jeśli mam w tej sprawie coś do powiedzenia.

Mike pada na ziemię i czołga się oślepiiony zawieruchą.

- Ostrzegamy cię, nie przekraczaj linii.

- To wy ją przekroczyliście, ja cały czas stoję po właściwej stronie.

...burza piaskowa osiąga apogeum, szorstkie bicz smagają go ze wszystkich stron i nie ma przed nimi ucieczki, można tylko skryć głowę w ramionach, przywrzeć do ziemi i modlić się o przetrwanie...

- Zmuszasz nas do bolesnych kroków.

- Zmuszam was jedynie do zastanowienia się.

- To uczyniliśmy już dawno. Proszę, Isteo, odsuń się od ekspedytora.

...coś szarpie go w jedną, pcha w drugą i ciągnie w jeszcze inną stronę, jakby był ochłapem targanym przed sforę kundli. Mike krzyczy, kiedy nagle grunt wybucha pod nim i wyrzuca jak pocisk do góry, a piaskowy wir porywa go w niewiadomym kierunku...

- Możesz mieć wpływ! - Ktoś jeszcze woła za nim poprzez nieludzkie zawrocenie wiatru. - Nawet spadający kamień go ma!

* * *

Powrót do Paryża był koszmarem. Po raz pierwszy Olimpijczycy pozwolili mu zachować jakieś wspomnienia z ich świata, ale niech przeklęty będzie taki pożegnalny upominek! Mike prowadził w stanie podobnym do narkotycznego transu, w którym pozbawione logicznych powiązań obrazy i dźwięki przeplatają się z rzeczywistością niczym piekielna fastryga.

Trzykrotnie omal nie skończył swej podróży w kostnicy. W Montlucon piaskowe tornado - zjawisko atmosferyczne zupełnie niespotykane w tej części Europy - przesłoniło mu momentalnie widoczność na skrzyżowaniu i miał dużo szczęścia, że rozpędzony TIR strzaskał mu tylko jedno z tylnych świateł. Drugi raz otarł się o śmierć kilkadziesiąt kilometrów za Chatearoux, gdy zjechał w panice na przeciwbieżny pas ruchu, bo droga zaczęła nagle wykwitnąć ognistymi gejzerami. Przeraził się i czym prędzej skręcił do najbliższego motelu, gdzie przez następną godzinę usiłował doprowadzić nerwy do porządku.

Niekontrolowane wizje stopniowo poczęły tracić na sile i Mike ruszył dalej, jednak nie do końca udało mu się wziąć wyobraźnię w karby. Przejeżdżał właśnie rozwidlenie autostrad, kiedy wielka lokomotywa w żółto-czarne pasy wyskoczyła nagle niczym monstrualny kret ze środka jezdnii, kilkadziesiąt metrów przed nim.

Omam był tak realistyczny, że bez zastanowienia wcisnął hamulec do dechy. Samochód wpadł w poślizg, wykonał zwrot o pełne trzysta sześćdziesiąt stopni i znieruchomiał na poboczu. Jakimś cudem Mike nie odniósł prawie żadnych obrażeń, ale kierowca siedzącej mu na ogonie cysterny BP miał mniej szczęścia. Jeszcze w trakcie piekielnego piruetu jeden z kołpaków renówki strzelił i odbiwszy się od asfaltu uderzył w przednią szybę ciężarówki niczym wirująca gilotyna. Świadomość Mike'a nawet tego nie zarejestrowała. Skulił się tylko w fotelu, kiedy szesnastokołowy behemot minął go dosłownie o centymetry, skosił stalową barierę pomiędzy pasami i wbił się w naczepę ciężarowego wozu na przeciwniejszej nitce autostrady.

Druga lora była częścią jakiegoś konwoju. Kilkanaście tysięcy litrów benzyny eksplodowało z taką siłą, że szarozieloną ciężarówkę dosłownie zmiotło z drogi razem z eskortującymi ją motocyklistami i furgonetką na sygnale. Fala uderzeniowa przesunęła samochód Mike'a o dobre kilka metrów i zamieniła boczne szyby w szklany groszek.

Potworny karambol pochłonął w sumie siedemnaście ludzkich istnień w dziewięćdziesięciu trzech zniszczonych pojazdach. O tym jednak Mike dowiedział się dopiero z nocnych serwisów informacyjnych. Tego, że autostrada A-10 z Paryża do le Mans została zablokowana na cztery godziny nikt nie musiał mu mówić. Otepiały i psychicznie wyczerpany dotarł do miasta dobrze po zachodzie słońca. Nie pojechał jednak od razu do domu, lecz do kantoru w centrum.

- O tej porze? - Zdziwiony Pierre Malraux wpuścił go do środka. - Masz szczęście, że jeszcze tu jestem.

- Liczyłem na to. - Mike przysiadł na tandetnym krześle i sięgnął po papierosa, pierwszego od wielu godzin. - Masz.

Pierre odebrał od niego plecak i przeszedł na drugą stronę kontuaru. Kanciapka, w której mieścił się „punkt skupu złomu” była niepozorna. Zwierzchnicy Malraux, oddelegowanego do kontaktów z prometeuszami, uznali takie warunki za zupełnie wystarczające do wypełniania jego obowiązków. Typowa polityka oszczędnościowa rządu. Dobrze, że chociaż płacili w miarę uczciwie.

- No dobra, pokaż, co przyniosłeś. - Pierre usiadł przy komputerze i otworzył aktualny katalog porównawczy, a potem wysypał zawartość plecaka do wielkiej, plastikowej kuwety stojącej obok na blacie biurka.

- Hm, niewiele tego tym razem.

Malraux powiedział to bez jakiegoś szczególnego wyrzutu; był urzędnikiem, a nie paserem. Wszystkim, co miał z przyjmowania towaru od prometeuszy była goła państwowa pensja, taka sama co miesiąc.

- I więcej nie będzie, przynajmniej ode mnie.

Pierre zerknął na Mike'a z ukosa.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że się wycofuję. - Mike strząsnął popiół nie dbając o to, że popielniczka stoi zupełnie gdzie indziej.

- Jak to wycofujesz się? Tak po prostu? - Malraux przeniósł na niego zaskoczony wzrok.

- Właśnie tak. Mam już powyżej dziurek w nosie życia jak chłopiec na posyłki, zwłaszcza po dzisiejszej wycieczce. Olimp... - zaczął z rozpędu i natychmiast ugryzł się w język. Tego, co przydarzyło się jemu, nie doświadczył prawdopodobnie jeszcze żaden z prometeuszy. Wystarczyłoby kilka słów rzuconych w ucho czujnego Malraux, żeby Mike skończył w jakiejś izolacji najeżonej kamerami i mikrofonami. - Zresztą, nieważne. Policz tylko wszystko i zrób przelew, jak zwykle.

- Zaraz, zaraz, nie tak prędko. - Rysy sympatycznej skądinąd twarzy Pierre'a ściągnęły się. - Mamy chyba umowę.

- Gwiżdżę na nią, Malraux - przerwał mu Mike oschle. - To ja wam przez cały czas robiłem łaskę, a nie wy mnie.

- No, z tym akurat bym się spierał.

- Tak? W takim razie może któryś z was wybierze się na Olimp? Ciekawe, czy przynieśliście stamtąd choć ziarnko piasku.

- Rozumiem twój sarkazm, Mike. - Ton głosu Pierre'a momentalnie złagodniał. - Szczerze powiedziawszy ja też uważam, że góra płaci wam zupełnie śmieszne pieniądze za te świecidełka. Ale z drugiej strony sam wiesz najlepiej, że gdybyś chciał cokolwiek z tego sprzedać na czarnym rynku...

- To jedna transakcja ustawiłaby mnie pewnie do końca życia, a wy nigdy byście nie doszli...

Telefon Malraux zabrzmiał nagle taktami Marsylianki. Pierre rzucił okiem na wyświetlacz i odrzucił niedbale aparat na biurko. Pewnie nikt ważny, może jakaś pomyłka.

- Co mówiłeś? - Odwrócił się ponownie do Mike'a.

- Że to nie jest kwestia pieniędzy, tylko świętego spokoju. Wy nawet nie macie pojęcia, ile to wszystko kosztowało mnie zdrowia. Odpracowałem swoje, teraz chcę pożyć zwyczajnie, na przykład w małym domku nad brzegiem morza.

- A gdzie konkretnie? - zainteresował się nim z tego, ni z owego Malraux.

- W Sete. - Mike zdusił niedopalek. - Żona wynalazła tam śliczną posiadłość.

- No to chyba będziecie musieli poszukać sobie czegoś gdzie indziej - skrzywił się Pierre.

- A to czemu?

- Bo od rana cały teren w promieniu stu kilometrów od Montpellier to strefa zamknięta. Nie słuchałeś komunikatów?

- Nie. - Mike poczuł nagłe mrowienie w kręgosłupie. - Jak to, strefa zamknięta? Z jakiego powodu?

- Tego, niestety, nie mogę ci zdradzić. - Malraux rozłożył ręce.

- I na jak długo?

- Obawiam się, że aż do odwołania.

- Ale ja już przecież kazałem jej wpłacić zaliczkę! Psiakrew, co wy znowu kombinujecie? I czemu właśnie tam, ze wszystkich miejsc?

- Zapytaj tych z góry, może ci powiedzą. - Malraux przybrał obojętny wyraz twarzy. - Ja tu tylko przyjmuję towar.

- No jasne, zawsze ta sama piosenka - prychnął Mike. - Z diabłem by człowiek ubił lepszy interes, niż z wami.

- Naprawdę mi przykro, że twoje plany się skomplikowały.

- Co ty nie powiesz? - Mike wstał gwałtownie. - Rób lepiej ten przelew, chcę do domu.

Malraux wahał się przez chwilę, w końcu jednak wstukał, co trzeba, zrobił wydruk i położył go na metalowym blacie kontuaru.

- Tu, tu i tu...

- Wiem. - Mike skrobął parafki w odpowiednich rubrykach. Nie omieszkął przy tym sprawdzić wpisanej przez Pierra sumy, która, o dziwo, okazała się całkiem przyzwoita. Chociaż tyle...

- No to co, chyba nie będę mówił „do widzenia”. - Malraux wziął od niego formularz i oddał pusty plecak.

- I słusznie, bo więcej się nie zobaczymy. Pozdrów ode mnie szefostwo.

Wyszedł w parną, sierpniową noc myśląc już tylko o Yvette i o marzeniach, które ponownie zostały obrócone w niwecz, tym razem przez arogancję VI Republiki. Strefa zamknięta, niech to szlag trafi! Co ci zasrani politycy sobie wyobrażają, że ten kraj to ich prywatny ogródek, a ludzie są trawą do deptania? Od dawna należy im się jakiś nowy Robespierre, albo parę dobrze wycelowanych piorunów z Olimpu, o tak! I co to w ogóle znaczy „strefa zamknięta”? Zakaz wjazdu i wyjazdu, wysiedlenie wszystkich z tamtych terenów w diabły? Tak czy siak, o małym domku w Sete mógł już zapomnieć. Zresztą pał sześc Sete, nad Atlantykiem też są piękne miejsca, byle Yvette nie wpakowała się przez jego pośpiech w jakiś wojskowy kocioł bez wyjścia.

Gdzie ten telefon? Ach, prawda, zostawił go w samochodzie.

Mike siadł za kierownicą i otworzył skrytkę. Niesamowite, ale pomimo rozbitych szyb aparat nadal w niej był. Tyle, że bezużyteczny, gdyż bateria zdążyła się rozładować.

- Merde! - zaklął i przekręcił kluczyk. Nie pozostało mu nic innego, jak jechać do domu. Kto wie, może Yvette już tam jest? A może w ogóle nie pojechała?

Dom przywitał go jednak zimną pustką. Mike chwycił słuchawkę telefonu i odetchnął z ulgą, kiedy żona odezwała się już po pierwszym sygnale.

- Gdzie jesteś? - zapytał.

- Jakieś sto dwadzieścia kilometrów od Paryża. I jak poszło?

- Wszystko w porządku. Jestem już w domu. A tobie?

Krótką pauza, a potem wściekle:

- Nawet nie pytaj. Jeszcze teraz wszystko się we mnie gotuje!

- Wojsko?

- Co, już wiesz? No tak, przecież musieli o tym mówić w wiadomościach. Ale żebyś to widział z bliska!

- Wyobrażam sobie.

- Wątpię. Sceny jakby wyjęte żywcem z jakiegoś filmu katastroficznego, wszędzie barykady, zasieki, wozy opancerzone, po prostu nieprawdopodobne. Mike, co tu się wyprawia?

- Sam chciałbym to wiedzieć - westchnął. - Ale porozmawiamy o tym w domu. Tylko proszę, jedź ostrożnie, bo na pewno jesteś zmęczona.

- Obiecuję.

* * *

Malraux właśnie zabrał się do kasowania plików po wyjściu prometeusza, kiedy elektroniczne takty Marsylianki rozległy się ponownie.

- Co jest, do ciężkiej cholery? I czyj to w ogóle numer? Halo? Słuchaj, dowcipnisiu...

- No, wreszcie! W dupę wsadziliście sobie ten telefon, Malraux?!
Pierre omal nie udławił się własnym językiem.

- N-nie, panie ministrze - wybąkał, pąsowiejąc. - Ja... Przez moment nie mogłem odebrać, bo...

- Dobra, mam tu znacznie ważniejsze problemy na głowie niż kochanki moich pozał się Boże podwładnych. Wiecie, co nasi mądrale powiedzieli mi dosłownie przed paroma minutami?

- Skąd... Nie mam pojęcia, panie ministrze.

- Otóż powiedzieli mi, cytuję: „Nie mamy już Montpellier”.

- Jak to?

- To znaczy mamy, ale tylko puste instalacje, bo całą resztę diabli wzięli. Sprzęt, ludzie, skompletowany wsad, wszystko, co mieliśmy przygotowane do odtworzenia Eksperymentu Genewskiego poszło dzisiaj z dymem na A-10. Jakaś zasrana cysterna wpadła w poślizg i wpięprzyła się w sam środek naszego konwoju, wyobrażacie sobie?! Całe szczęście, że mamy instalację rezerwową! I użyjemy jej, bo wycofanie się w tej chwili jest absolutnie poza kwestią. Jest tylko jeden mały szkopał: brakuje nam kilku elementów do kompletnego wsadu. I stąd mój

telefon, Malraux. Sprawdziliśmy już wszystkich zarejestrowanych pośredników, każdego lewego pasera od Pirenejów po Ardeny, co się tylko dało, i nic. Wy jesteście naszą ostatnią deską ratunku i jeśli za moment usłyszę od was negatywną odpowiedź, to chyba osobiście przyjadę i was zastrzelę.

- Ale o co konkretnie chodzi, panie ministrze?

- O retrokoncentratory.

- Słucham?

- Chryste, Malraux! Te fruujące kulki! Macie je?

- Aa... tak, mam! Dosłownie przed chwilą był tu u mnie jeden z nich i przyniósł parę, a dokładnie cztery.

- Cztery aż?! Słodki Jezu, Malraux, no to wy już jesteście bohaterem narodowym! Najdalej za pięć minut będzie u was mój człowiek.

- Przepraszam, panie ministrze, a gdzie jest ta instalacja rezerw... halo? Halo?!

* * *

Rozmowa z Yvette była jak otwarta nagle śluza. Niepokój i rozdrażnienie znikły, pozostawiając już tylko szlam głodu i potwornego zmęczenia. Mike powlókł się do kuchni, a stamtąd do salonu, z piwem w jednej i kawałkiem sera w drugiej ręce. Nawet nie chciało mu się zapalać światła, włączył tylko telewizor, żeby nie siedzieć w kompletnej ciszy. Padł na fotel, otworzył puszkę... i momentalnie odpłynął, by po kwadransie zbudzić się z niespokojnej drzemki. W jego mózgu znów roztańczyły się wizje, zbyt żywe jak na normalny sen i zbyt surrealistyczne jak na jawę. Tylko piwo rozlałem, pomyślał półprzytomnie i zaczął bezwiednie przerzucać kanały, zatrzymując się w końcu na jakimś serwisie informacyjnym. Może powiedzą coś o tym Montpellier... Niestety, o Montpellier nie padło ani jedno słowo i Mike chciał już poszukać innych wiadomości, kiedy spiker przeszedł do następnego punktu.

- *„Na autostradzie A-10 w okolicach Ponthevrard gdzie, jak informowaliśmy wcześniej, doszło dziś do potężnego karambolu, ruch powoli wraca do normy. Żandarmeria jednak ostrzega...”*

Mike od razu wytrzeźwiał i wlepił wzrok w ekran. Ujęcia były z kilku różnych perspektyw. Część z nich wykonano z helikoptera i właśnie te, choć najmniej dramatyczne, najpełniej ukazywały skalę wypadku oraz nieprawdopodobny zator, jaki spowodował. Zbliżeń dano zaledwie kilka, gdyż reporterom ewidentnie przeszkadzali w pracy niezliczeni mundurowi. Ale i te parę migawek wystarczyło, by Mike rozpoznał szczątki feralnej cysterny, charakterystyczne barwy kilku innych wraków i widniejące na nich symbole.

- Wojsko - powiedział sam do siebie. - Ta cysterna wpięrzyła się w jakiś cholerny, wojskowy konwój! I założę się, że jechali właśnie...

*„...Jedną z niewielu rzeczy, Ohe, o których nieprzerwanie śniesz jest morze, nieprawdaż?...”
„...Enklawa musi powstać i dojrzeć, żebym miał interlokutorów na odpowiednim poziomie...”
„...Nawet jeżeli trafnie przewidziałeś efekty każdego z posunięć i rękami takich niczego nieświadomych biedaków, jak ten ekspedytor, wybudujesz swą wymarzoną enklawę na brzegu Mediterraneo...”*

...do Montpellier, dokończył w myślach. Do Montpellier, które przecież jest o rzut kamieniem od Riwiery, od morza, i ta strefa zamknięta w promieniu stu kilometrów... Jezu Chryste, ci kretyni chcieli tam zrobić nowy bąbel! A ja...

Zaniósł się histerycznym śmiechem. Niebosięźni bogowie przesuwający pionki na szachownicy i jedna głupia cysterna British Petroleum, która jechałaby spokojnie dalej, gdyby jego na wpół zdechła renówka nie zakręciła się w poślizgu właśnie wtedy i właśnie tam! Wyniośli, wszechwidzący Olimpijczycy, którym zagrało na nosie takie zero, taki marny pikolak jak Mike Foucher!

Nieprawda, pomyślał z jeszcze większym rozbawieniem, to nie tak. To nie on zrobił tych zadufanych dupków na szaro, ale Wszechświat! Wobec jego nieprzewidywalności wszyscy są równi, choćby nie wiadomo jakie technologiczne moce mieli do swej dyspozycji.

- Enklawa z widokiem na morze? - roześmiał się w głos. - Gówno macie, a nie żadną enklawę, gówno! I dobrze wam tak, złamasy, bożyszczka za pięć centów, bo koniec końców jesteście tylko zwykłymi megalomanami, nikiem więcej! Losu nie da się wziąć na smycz jak pudelka, ani teraz, ani dwa i pół tysiąca lat później, łapiecie to wreszcie? Boże, ależ mi dobrze!

Wybiegł do przedpokoju, złapał telefon i wcisnął klawisz „redial”.

- Yvette?

- Mike? Co się dzieje?

- Chyba jeszcze nie wszystko przepadło, kochanie. Musiałem zadzwonić i powiedzieć ci o tym.

- Ale co? O co chodzi?

- Mówię o domku w Sete.

- Och, daj już temu spokój, zapomnij i nie drażnij mnie, chociaż ty jeden.

- Wcale nie chcę cię drażnić, tylko pocieszyć. Mam przecucie, że wszystko będzie dobrze!

- Jakie dobrze? Przecież tam jest teraz strefa zmilitaryzowana!

- To się może wkrótce zmienić.

- Mówili coś w telewizji? - Głos Yvette ożywił się momentalnie.

- Poniekąd. To trochę skomplikowane, opowiem ci wszystko później. Gdzie już jesteś?

- Niedaleko, tyl...

- Yvette? Yvette?!

Połączenie urwało się w pół słowa. Może straciła zasięg, albo też padła jej bateria w telefonie. Coraz gorszy ten sprzęt! Chyba specjalnie, żeby zmuszać ludzi do nieustannych zakupów. Z żarówkami to samo. Tę w przedpokoju wymienił zaledwie tydzień temu i proszę, już szmelc. Mike ruszył po omacku do kuchni, ale i tutaj pstrykanie wyłącznikiem nic nie dało. To samo w łazience i w salonie, telewizor też zgasł... No cóż, widocznie przerwa w dostawie prądu, kiedyś wreszcie musiała się zdarzyć. Świecek, gdzieś tu na pewno są, pamiętał, że zostały po jego ostatnich urodzinach. Ależ ciemno, musiało trafić całą dzielnicę.

Mike odsunął stopy i popatrzył na miasto szukając wzrokiem choćby jednej działającej latarni. Nie dostrzegł jednak żadnego światła poza bladymi płomykami świec, których coraz więcej zapalało się w oknach pobliskich domów...

* * *

- Przepraszam, nie wie pani, co się stało?

- Pewnie znowu jakiś... - Przelatujący helikopter zagłuszył rozmowę i oddalił się nad pola liżąc ziemię reflektorem.

- Nie dosłyszałam! - Yvette wychyliła głowę przez okno, ale kobieta, którą zagadnęła zawróciła pośpiesznie do swojego BMW.

Jeszcze jeden śmigłowiec, a potem cała ich eskadra przemknęła z rykiem tuż ponad dachami aut, od ponad kwadransa unieruchomionych w korku. I jak na razie nic nie wskazywało na to, by szybko mieli się ruszyć. Mon Dieu, a może rozpętała się jakaś kolejna wojna? Najpierw Montpellier, teraz te helikoptery i szum w radiu niemal na wszystkich lokalnych pasmach. Zaś na drodze przed nimi blokada z czołgów i żołdaków pod bronią. Po tym, co przeszła dzisiaj pod Millau, wszystko wydawało się teraz możliwe.

Coraz więcej zniecierpliwionych podróżnych wysiadało z wozów, niektórzy wdrapywali się nawet na maski w nadziei, że coś więcej stamtąd zobaczą. Może i rzeczywiście zobaczyli, bo z kilku ust wyrwały się zdumione okrzyki. Zaniepokojona Yvette wyszła z samochodu i wpadła w sam środek kurzawy, wznieconej przez wirnik kolejnej maszyny, która tym razem zrobiła kółko i wylądowała dosłownie kilkanaście metrów od niej, na poboczu. Śmigła helikoptera z napisem „PIN Broadcasting Company” na kadłubie nie przestały jeszcze mleć powietrza, kiedy wyskoczyli z niego wysoka blondynka z mikrofonem i chłopak z kamerą. Ten ostatni natychmiast skierował obiektyw najpierw w niebo nad pobliską metropolią, a później na sznur zastygłych samochodów i w końcu na dziennikarkę. Blondynka stała jakieś dwadzieścia metrów dalej, ale głos miała donośny i Yvette słyszała każde słowo. Mówili po angielsku.

- Masz to? - Kobieta zapytała kamerzystę. - Będzie w ogóle coś widać przy takim małym kontraście?

- Nie jakoś super, ale odcina się dostatecznie wyraźnie. W razie czego zawsze możemy zrobić składankę ze zdjęciami sprzed roku, to byłoby nawet bardziej przekonujące i efektowne.

- OK, ty tu jesteś od obrazków. Dobra, panowie, minuta na mnie solo, a potem przejdziemy się po ludziach. Gotowy?

- Jasne.

- Trzy, dwa, jeden i... rolujemy. Chris? - To było najprawdopodobniej do kogoś w studiu telewizyjnym po drugiej stronie satelitarnego łącza. - Witaj, Chris. Trudno uwierzyć, ale to dzieje się znowu, tym razem w samym sercu Francji. Dokładnie dwadzieścia jeden minut temu Paryż zniknął nagle pod szarą kopułą relatywistycznego bąbla, co do tego nikt nie ma wątpliwości. Teraz...

Serce Yvette skoczyło do gardła. Zachwiała się, musiała usiąść na ziemi. Co ta kobieta wygaduje, na Boga?!

- ...ogarnąć tragedię tych ludzi. Choć dla nich tutaj upłynęło zaledwie dwadzieścia minut, tam - jeśli oczywiście mamy do czynienia z tym samym współczynnikiem, co w przypadku Nieciągłości Genewskiej - nie ma już od dawna nikogo z ich bliskich...

Ktoś stanął w milczeniu obok Yvette, ktoś inny usiadł na poboczu nieopodal i zaniósł się histerycznym szlochem, głośniejszym i bardziej rozdzierającym od łkania, które zaczęło wstrząsać nią samą. Złoty medalion z dedykacją „Od Michaela dla Yvette” zniknął w jej zaciśniętej dłoni. Patrzyła przez łzy na rozmyte światła samochodów, autostradę, ciemnoszary łuk, który zakrywał połowę rozgwieżdżonego nieboskłonu i zieloną tablicę z napisem: „Paryż - 31 kilometrów”.